



Bolesław Prus
(1847 — 1912)

Kartki z podróży (1875)

Rozmaitość jest jednym z najważniejszych warunków uciechy w tym życiu, no — a piasek przed sobą i za sobą, na prawo i na lewo, pod sobą i nad sobą, piasek w uszach, w oczach a nawet w ustach i kamaszach, przestaje być uciechą. Dlatego Mazowsze i Podlasie nigdy mniej zbytnie do siebie nie pociągały, choć są ludzie, którzy przepadają za nimi.

W Ojcowie znowu jest natura cudowna: góry, skały, lasy, woda; słowem wszystko, czego pejzażysta zapragnąć może. Cóż, kiedy my, śmiertelni, jesteśmy pejzażystami tylko od wierzchu kapelusza do krawata. Grzbiet zaś wymaga siakich takich łóżek, a żołądek jedzenia i z tego powodu bajeczne widoki ojcowskie nieurozmaicone bifsztykiem i pokoikiem — niezmiernie łatwo przyprowadzają warszawiaków o melancholię nudy.

W Puławach zaś rozmaitości jest daleko więcej, prawie tyle, ile jej istota ludzka do szczęścia potrzebuje. Natura tu cacana, sztuka poparła ją w miarę, piasku wprawdzie dosyć, ale go ominąć można — mieszkania niezbyt tanie i obfite, lecz w ilości jak na dziś dostatecznej — jadło wcale niezłe, a wreszcie towarzystwo, jeżeli kto tak szczęśliwie jak ja trafił — nieocenione!

Szkielet okolicy stanowi powierzchnia falista, przypominająca morze w czasie lekkiego wiatru. (Ja wprawdzie morze znam tylko z wystawy sztuk pięknych, lecz ponieważ kilka osób z naszej kolonii w Puławach widziało je własnymi oczyma, wyobrażam więc sobie morze i fale tak łatwo, jakbym był co najmniej admirałem). Wzgórza puławskie nie są zbyt wysokie ani doliny głębokie: mają najwyżej po kilkanaście stóp, czasem parę cali. Wydymają się one i opadają tak gładko, że gdybyś usiadł na jednym z nich, to przy byle jakim wietrze zsunąłbyś się na dół — bez kłopotu i strachu, jak dziecko na huśtawce, którą troskliwa bona pod okiem matki chybocze.

Wszystkie te fale niegdyś zapewne ożywione, dziś zakrzepie, biegną ku Wiśle, nad brzegiem której kończą się nagłym spadkiem mającym około 40 stóp wysokości. Ten kształt gruntu niezmiernie przypomina warszawski Ogród Botaniczny

i Wierzbno, których powierzchnia w stronę rzeki zwrócona jest spadziwą. Nawet ogród puławski z tej właśnie racji jest nieco podobny do Botanicznego i Łazienkowskiego razem wziętych. Posiada bowiem część górną odpowiadającą Botanicznemu Ogrodowi i dolną odpowiadającą Łazienkom. Jest jednak od nich obszerniejszy, więcej urozmaicony i dzikszys; nie ma posągów, a na zdobiących go dziełach ludzkich czuć już wszechmocną dłoń zniszczenia, co mu nieopisanego dodaje uroku.

Ponieważ bardzo dbam o to, aby najmniej rozwinięty warszawiak przy pomocy moich objaśnień czuł się w Puławach jak w domu, zaczynam więc taniec od pieca, czyli opis od początku.

Przypuszczam, że idziesz pan od stacji piechotą, zaopatrzoney w lorynetkę. Znajdziesz się na szosie i nie czując nawet, wstępujesz pod wzgórze, którego szczyt przypada zaraz za trzecią wiorstą. Spoglądasz za siebie i widzisz: szlaban przy kolei, który zgodnie z duchem przepisów zamyka się w czasie biegu pociągów, dalej — ukryte między drzewami czerwone dachy Końskowoli, a znacznie bliżej, bo prawie tuż za uchem — Żydków furmanów, którzy cię na wyścigi zapraszają do swych „trzęsionek”.

Spoglądasz teraz przed siebie, ku Puławom. Szosa ślicznie spada na dół jak płowa wstążka, na końcu której szarżę pierwsze budowle osady. Gdzie okiem rzucisz, zielono i zielono; na tle błękitu lipowe aleje rysują się jak obłoki, których niebo mogłoby pozazdrościć ziemi, gdyby nie miało porządniejszych.

Gościnne bryczki furmanów wyprzedziły cię już ... Jedna, dwie ... sześć ... dziesięć ... z powodu odległości zdaje ci się, że stoją w miejscu, chociaż biegną całą siłą pary koni chudych, unoszących puste półkoszki, a w nich lekkie żołądki swoich właścicieli. Na prawo — chłopci tłuką rytmicznie ogromnymi młotami kamienie szosowe, nucąc pieśni przypominające obławę na wilki — na lewo para włóścian poprawia mostek, wkopując obok niego słupki obficie pomazane dziegciem. Turkot bryczek jest już tak słaby, że nie zagłusza ćwirkania koników polnych witających cię na swój sposób.

Przychodzi chwila, że prócz bydła pasącego się na ściernisku, żywej duszy ludzkiej nie spotykasz na szosie. Przez dobre jednak szkła zobaczyć możesz śpiącego pod przydrożną topolą pastucha, a w alei lipowej młodą parę, która ciągnie zwolna do lasu, prawdopodobnie w celu znalezienia tam świeżego powietrza.

Szosa, jak powiedziano dawniej, wysadzona jest przeważnie topolami włoskimi. Wysmukłe to drzewo widziane z daleka ma formę pióra gęsiego i ukazało się na świecie z powodów bardzo oryginalnych. [...]

Dotarliśmy do miejsca, w którym szosę przecina główna aleja, najpiękniejsza w Puławach, uformowana z czterech szeregów lip. Skręcamy na lewo, do pałacu. Z dziesięciu obywateli pytałem: ile osada ich ma ludności i gdzieby o tym języka zasięgnąć można? Odsyłali mnie do wszystkich władz gminnych, powiatowych, sądowych i policyjnych, sami bowiem nic o tym przedmiocie nie wiedzą. No i ja

gotów byłem niepokoić swymi pytaniami czcigodne magistratury, narażać je na kłopoty, a na siebie ściągać podejrzenia!... Tymczasem tu, przy alei lipowej, na drodze do pałacu stoi jak wół tablica, która opiewa, że osada Puławy ma 202 domów i 2.800 mieszkańców. Skądinąd wiadomo mi, że społeczeństwo to wiernych obu wyznań zjada rocznie około tysiąca sztuk bydła rogatego, nie licząc chleba, kaszy, ziemniaków i im podobnych suplementów.

Wszedłszy w aleję jesteś jakby w sali kolumnowej ciągnącej się przed tobą i za tobą na przestrzeni paruset sążni. Słupy czarne, sklepienia i posadzka zielona, spomiędzy liści przegląda niebo. Chcąc z kamienia wybudować coś podobnego człowiek wydałby miliony na czarne marmury, wyczerpałby kopalnie malachitu i lapisu lazuli i w rezultacie zrobiłby rzecz małą i kiepską.

W salonie tym kolumny są wprawdzie pochylone, niejednostajnie grube, niekiedy potrzaskane, posadzka powyginana tak, że babina idąca o kilkadziesiąt kroków wygląda — jakby ją do połowy w ziemię wkopano. Ale za to słupy, ściany, sklepienia i posadzki żyją, gadają, ruszają się lub dają przytułek setkom tysięcy istot samodzielnych, jeżeli nie krzykliwych, to przynajmniej ruchliwych. Co chwila gałąź zadrży i spośród gęstych liści wyjrzą czarne błyszczące śleпки jakiejś ptaszyny, która uważa za stosowne zarekomendować ci się w urywany i pieszczotliwym języku. Dziobaty mieszkaniec lip jest trochę wścibski, trochę gaduła i całą jego ruchliwą istotą od głowy do ogona wypełnia ciekawość. Rad by zawrzcć z tobą bliższą znajomość, wypytać o nowiny i słuchając ich opowiedzieć ci o własnych przygodach. Jest tak szczerzy, że nfe ukrywałby ani drobnych kradzieży, jakie popełnia na cudzych polach i ogrodach, ani niefortunnych zalotów, ani przykrych snów, jakie go zeszłej nocy trapiły. Ale ty, prawe dziecko rodu ludzkiego, widząc, że skrzydlaty plotkarz wiesz się nad tobą nie wyżej jak na łokcie, chwytasz za kij lub kamień, chcąc kosztem jego istnienia wypróbować swoją zręczność. Szczęściem jesteś niezgrabny jak słoń; w jedną stronę leci twój pocisk, w drugą przerażony ptak, głośnymi lamentami ostrzegając kuzynów i przyjaciół, aby w żadne poufałości nie wdawali się ze sztywnym i grubijańskim przybłędą, który bije ptaki, choć sam ani latać, ani usiąść porządnie na gałęzi nie potrafi i albo milczy posępnie, albo wydaje z płaskiej twarzy głosy podobne do ryku niechlujnego bydłęcia.

Nie na samych jednak ptakach ogranicza się ludność alei. Uważaj no pilnie na te górki, o które potykasz się co chwilę. Zasiany nimi cały trawnik. Jedne są więcej zbite i jakby zwiędłe, na innych znac świeżą ziemię, a ta, do której dochodzisz — rusza się nawet i ze szczytu jej pryska piasek i grudki gliny. Jest to nowopostawiony dom indywidualności zwanej kretem. Osoba ta posiada cienki ryj, kusy ogonek i oczki tak małe jak nakłucia szpilki, wygląda zaś, jakby ją w czarny aksamitny worek zaszyto.

Kret, starszy widać i doświadczeńszy od ptaków, tak sobie zbrzydził towarzystwo ludzkie, iż wuli żywcem zakopywać się do grobu, aniżeli na własnej skórze dźwigać dowody ciekawości naszej. Jest to w części pesymista. Gardzi słońcem

i pięknymi widokami ziemskimi, miłuje samotność, jak gdyby czytał Senekę, który mówi, że czuł się gorszym, ile razy przebywał w towarzystwie ludzkim i ryje długie, rozmaicie powyginane piwnice, za pomocą tęgich, kusych łap przednich, opatrzonych silnymi pazurami i podobnych do ręki spracowanego człowieka. Dziwny ten zwierz, postrach kobiet i przedmiot uwielbienia dla dzieci, zaczepiony przez istotę ludzką wrzeszczy głosem zdradzającym obrzydzenie i nudy, szpilkowatymi zębami kąsa rękę, która go chce pogłaskać i — korzystając z chwilowej emocji nowego znajomego, pluje mu piaskiem w oczy i zakopuje się w ziemię. Z obyczajów kreta wnieść by można, że w świecie glist, pędraków, podjadków i korzeni przepędza się czas równie dobrze jak w Puławach lub w Warszawie. Zależy to od przyzwyczajenia.

Zresztą pełno tu innych tworów bożych, wobec których dwunożny surdutowiec z wielką afekcją zadziera głowę uważając się za coś lepszego. W fałdach kory lipowej drzemie poważna i flegmatyczna ćma ze łbem sowy i skrzydłami podobnymi do krzyżackiego płaszczka. Trochę niżej od niej, na stronie drzewa oświetlonej, wygrzewają się na słońcu stada kowali, którzy na plecach jak średniowieczni pokutnicy noszą wizerunki trupich głów, czerwonego i czarnego koloru. Tu i owdzie, najczęściej obok martwej gąsienicy lub zeschłej poczwarki, dumają pluskwy drzewne chodzące zwykle pojedynczo lub parami. Istoty te pachnące jak stu aptekarzy wykąpanych w asafetydzie mają ostre i długie dzioby, na piersiach pancerze przypominające skorupę raka morskiego, na brzuchu cętkowaną skórę pantery, na grzbiecie płyty szyldkretu tudzież nogi bocianie, szczeciniaste, orlimi zakończone szponami. Wstrętny i drapieżny owad, który niezbyt dawno ukąsił jedną ze znajomych mi dam, tak że aż dreszczów dostała, prawdopodobnie dla pokrycia swych niecnych instynktów płaszczykiem pobożności nosi na plecach coś przypominającego kaptur kapucyński. Na domiar niedoli filut ów chętnie przesiaduje na malinach, zakażając miły ich smak swoim ohydny tchnieniem.

Wśród tej rzeczypospolitej ptasiej, owadziej i roślinnej, której członkowie żyją spokojnie i zjadają się bez cytowania jakichkolwiek bądź wyższych idei na obronę swoich postępów, człowiek odegrywa, zaiste! rolę szatana. Krwiożerczy i ciekawy, chytry i obojętny na cierpienia innych, płoszy ptaki, chwytą motyle, aby je nadziać na szpilkę, łamie gałązki lipy, szturga kijem nory zniechęconych do świata kretów, niepokoi senne ćmy lub rozprasza Bogu dułia winne — stada ascetycznych kowali.

Toteż kiedym po raz pierwszy wchodził w lipową aleję, ja, nieszczęsny reprezentant obmierźłego naturze gatunku, liście poczęły drzeć, struchlałe ptaki kryć się po najciemniejszych gęstwinach, a drobne muszki jęczeć mi nad uchem jak pogrzebowe dzwony zwiastujące śmierć i zagładę wszystkiemu, co się rusza. Przed moim wejściem tu słońce świeciło jasno, rzucając na trawnik złote snopy, których liście drzew uchwycić nie zdążyły, ale gdy dotkną przekłętą stopą tej ziemi,

znikły z niej jeziorka światłości i całą posadzkę alei powłócił jednostajny, popielaty cień niby krepa żaloby.

Dopiero gdy przekonano się, że nie jest łapacz motyli ani wybieracz pliszek, stare, doświadczone lipy zaszumiały w takt uspokajający, zaświergotały ptaki, na tle cieniu zasa- rzały półcienie, trysnęły potoki światła i cała aleja na chwilę skurczona ze strachu przeciągnęła się jak dobry człowiek, którego wschód słońca ze snu budzi. W kwadrans później patrzono już na mnie bez gniewu, a dziś chodzę tu po wszystkich klombach, alejach i łąkach jak nieszkodliwa nikomu mrówka lub mszyca, na którą słońce zlewa część swych błogosławieństw i której kwiaty same podają słodką rosę litując się nad jej pragnieniem.

Aleja od szosy do pałacu ina kilkaset kroków długości. Obok niej na prawo widzisz ogrodzone płaskimi sztachetami półko doświadczone, nieco dalej nie ogrodzoną i dobrze zaniebaną szkółkę młodych drzew. Za sztachetami znowu, na lewo znajduje się ogród owocowy pełen truskawek, malin, wiśni, jabłek, gruszek i śliwek, że nie wspomnę o morelach i brzoskwiniach, które tu były kiedyś. Sad ten dzierżawią Żydzi, owoców więc dostać można, jakkolwiek nie po najniższej cenie.

Tuż przed instyuckimi budowlami aleja przecina się z ulicą Lipową, wiodącą z miasta na Marynki i do Włostowic. Przeszedłszy ją jesteśmy już na terytorium pałacowym.

Zaraz na pierwszym kroku napotykamy oryginalność, mianowicie fosę murowaną, zabytek prawdopodobnie z tych czasów, kiedy na miejscu dzisiejszej akademii gospodarstwa wznosił się obronny zamek Sieniawskich. Fosa jest niedługa, lecz parę łokci głęboka; na końcach jej stoją murowane domki, przez środek zaś idzie mostek. Dwie filigranowe, żelazne kolumny wysokie na dwunastoletniego chłopca są szczątkami ozdobnych żelaznych wrót, które istniały jeszcze za pamięci Instytutu Wychowania Panien.

Od ulicy funkcją słupów wjazdowych pełnią dwie armaty, paszczami wkopane w ziemię.

Za fosą ciągnie się spory kwadratowy dziedziniec gęsto zasadzony lipami, pod którymi bawią się dzieci, i zasiany trawą, która wypasa zbyt kujące kozy miejscowego pachciarza. Dobre te zwierzęta noszą kuse ogonki do góry, witają gości beczaniem, a niektóre z nich grzecznym panienkom z naszej kolonii dają buzi.

Następuje rząd sztachet okrągłych i wysokich jak lance ułańskie i brama, której skrzydła wiszą na dwu murowanych słupach. Słupy te — słuszne, kwadratowe i żółte — zamiast daszków mają na szczytach śliczne, wyrobione z gipsu grupy dzieci podających sobie ręce do wstania lub zakładających hełm na głowę. Rzeźby owe, białe niegdyś jak śnieg, dziś poszarzały dzięki deszczom.

Weszliśmy na dziedziniec główny. Pałac jest zbudowany w formie podkowy, a lepiej — owego berlińskiego stołu, przy którym odbyło się konsylium chirurgiczne nad obolałą Turcją. Front pałacu zwrócony prawie ku północy ma dwa piętra — skrzydła i oficyny po jednym. Przez całą długość korpusu środkowego,

dwupiętrowego, idzie podsiem wsparta na ośmiu kolumnach, a nad nią balkon z poręczą w piaskowcu wykutą. Całość budowli ładna, pokryta żelaznym, na czerwono malowanym dachem, nad którym mnóstwo piorunochronów sterczy; szkoda tylko, że ściany gmachu od dawna zresztą barwią się na żółto, co im daje pozór czysto szpitalny, w części kryminalny.

Prócz kilku lip, topoli włoskich, trawników, kęp bzu i pięknych okazów wierzby płaczącej, której żółte gałązki i jasnozielone listki zdają się całować ziemię, najpiękniejszą ozdobę dziedzińca stanowi prostokątna murowana sadzawka tej mniej więcej obszerności co kopiująca się obecnie w Ogrodzie Saskim w Warszawie. Woda do niej przyplywa ze wzgórz o parę wiorst od pałacu odległych i wycieka przez miedziane w łuki zgięte rury, zwane „węzami”. Sadzawka za pomocą stosownych urządzeń zaopatrywała w wodę kilka lokali pałacu: łazienkę, pralnię i kuchnię.

[B. Prus, *Kartki z podróży*, t. 2, Książka i Wiedza, Warszawa 1950, s. 22-30]